

Cybernetyka i enteogenika

Od cyberprzestrzeni do neuroprzestrzeni

Peter Lamborn Wilson

Termin „neoprzestrzeń” poznałem poprzez pewnego artystę z Kijowa, Władimira Muzykiewskiego, od którego zapożyczył go Geert Lovink. Natychmiast pomyślałem, że chciał on w ten sposób dokonać porównania przestrzeni właściwej komputerom z przestrzenią neuronową czy przeżyciem wewnętrznym, które zachodzi dla większości z nas głównie przy użyciu środków psychodelicznych – neoprzestrzenią, np. jako przestrzenią halucynacji. Chciałbym zestawić i porównać, jak mówiło się w szkole, cyberprzestrzeń i neoprzestrzeń. Są podobieństwa i różnice.

Pamiętam, że kiedy kilka lat temu z wielkim hukiem pojawiła się nagle wirtualna rzeczywistość, leciałem na konferencję do Nowego Jorku, gdzie był także Timothy Leary – Boże błogosław go – razem z Jaronem Lanierem i kilkoma innymi cybernautami. Tim nosił gogle, wszedł na scenę i powiedział: „O, ja już tu byłem”. Tak więc od razu dokonało się połączenie pomiędzy wirtualną rzeczywistością i doświadczeniem LSD lub jak wolą mówić niektórzy z nas, „doświadczeniem enteogennym”, co jest tylko zręczną próbą nie używania słowa „psychodeliczny”, ponieważ alarmuje ono policję. Właściwie „enteogeny” znaczą rodzaj „wewnętrznej boskości”. Jestem w stanie świadomie odnieść się do tego terminu, mimo tego że nie jestem teistą w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nie sądzę żeby trzeba było wierzyć w Boga aby zrozumieć, że istnieje doświadczenie boskości wyrastającej z wnętrza.

Historycznie rzecz biorąc – a przynajmniej dla mnie, doświadczalnie i egzystencjalnie – był to najważniejszy aspekt ponownego pojawienia się środków psychodelicznych w moim życiu. Jestem prawie rówieśnikiem LSD: urodziłem się w 1945 r. kiedy Albert Hofmann już tworzył jego różne wstępne wersje. W ostatnie lato musiałem spotkać się z Hofmannem i przyznaję, że jest on (prawdziwie) cudowną reklamą dla środków psychodelicznych. Jest w znakomitej formie, a mając już 80 lat jest zdrowy i rześki – ma wszystkie szare komórki i wciąż pracuje, je jak koń i pije jak wieloryb. To właśnie moje życie, o którym mówimy.

Istnieje historyczne pytanie dotyczące dziejów religii per se, które brzmi: skąd pochodzą psychodeliki? Terence McKenna wierzy, że ludzka świadomość jest sama w sobie funkcją doświadczenia psychodelicznego, a konkretnie chodzi o grzyby psylocybinowe. Wierzy on, że pewnego dnia mała człekokształtna wzięła grzyba i stała się człowiekiem, ponieważ pojawiło się poznanie. Terence mówi, że to co czyni z nas ludzi, to właśnie doświadczenie psychodeliczne. Nie sądzę żebym wierzył w to dosłownie; w każdym razie nie wierzę w żadne unikalne źródło ludzkiej świadomości.

Ale to oświecająca myśl, przyjąć możliwość, że zawdzięczamy naszą różnicę od innych przedstawicieli małpiego klanu naszej zdolności doświadczenia psychodelików w szczególny sposób. Jeśli to prawda, nasze całe doświadczenie poznania, które historycznie przynależy do kategorii „religia”, zaczęło się od psychodelików. Całe doświadczenie psychodeliczne współistniałoby więc w czasie z ludzkim stawaniem się. Interesująca hipoteza; możemy dodać ją do wszystkich teorii pochodzenia człowieka.

Lubię myśleć o palimpsestach. W średniowieczu nie posiadano zbyt dużo papieru, tak więc zapisywano jeden szereg liter na stronie, zaś później dopisywano kolejny na tej samej. Czasem zapisywano także trzeci. Czytano je także w ten sposób. Moje podejście do teorii jest palimpsestyczne: lubię spiętrzać teorie jedną na drugiej i prześwietlać cały stos spraw-

dzając czy wciąż przebija się przez niego jakiś promień. Pomyślcie o tym jak o świecących żelkach, ale z pismem w szeregu. Dodajcie wszystkie te teorie kładąc jedną na drugiej.

Pozytywny sposób patrzenia na świadomość wskazuje na fakt, że to „my”. Negatywny aspekt wskazuje na to, że sama świadomość jest procesem oddzielenia. Georges Bataille mówił o tym w interesujący sposób: postawił hipotezę, że cała religia skupia się na śladzie pamięci człowieka o momencie oddzielenia od natury – powiedzmy od zwierzęcia. Jeśli wierzyć w ewolucję, jest to dosłowna prawda. Był czas kiedy byliśmy swoistego rodzaju małpami. To oddzielenie pojawiło się w chwili świadomości. Nagle nie ma już pytania o doświadczenie zwierzęcia, co Bataille nazywa „pierwotną intymnością”. Wyciąga się nas teraz z matrycy i rzuca w poznanie.

Religia z tego punktu widzenia zaczyna się właśnie w tym momencie, ponieważ „religio” znaczy łączyć się, ponownie się jednoczyć. To, co próbujemy zrobić z tymi wszystkimi religijnymi i filozoficznymi formami jest próbą ponownego zjednoczenia się w pierwotnej intymności, którą straciliśmy kiedy zaczęliśmy doświadczać poznania. Jeśli Terence ma rację, wtedy poznanie zaczyna się od dragów, a następnym krokiem staje się wzięcie ich większej ilości, aby przywrócić utraconą całość. Tak więc w tym odczycie ludzka świadomość i ludzka religia, które są tak blisko ze sobą spójone, zawsze wiązałyby się z roślinami psychodelicznymi.

Tu dotykamy antropologicznego problemu, którego stałem się świadomy dopiero niedawno. Punktu widzenia, który przyjmują antropologowie wobec „najprymitywniejszych” znanych społeczeństw – to znaczy plemiennych społeczności zbieracko-łowieckich – głoszącego, że społeczeństwa te nie mają wiele wspólnego z psychodelikami. Zgodnie z antropologami, rośliny psychodeliczne pojawiają się w ludzkiej historii wraz z rolnictwem – tak więc najwcześniej jakieś 12.000 lat temu. Rolnictwo, era która wciąż trwa, składa się w najlepszym wypadku na 1% całej ludzkiej historii. Ale jeśli pojedziesz do Ameryki Pd. i porównasz plemiona myśliwskie z prymitywnymi rolnikami, którzy uprawiają trochę niezbędnych warzyw, trochę polują i trochę łowią ryby – bardzo egalitarnymi społecznościami bez silnego przywództwa – to właśnie u nich zaczynamy dostrzegać, że wyłonienie się roślin psychodelicznych jest kulturowym fenomenem.

Od razu uderzyło mnie to, że coś tu nie gra. Dlaczego rolnicy powinni posiadać większą wiedzę na temat dzikich roślin niż myśliwi i zbieracze, którzy faktycznie na nich polegają? Przynajmniej w 70% polegają oni na zbieractwie, a tylko w 30% na polowaniu. Zbieractwo, które zazwyczaj spoczywa w rękach kobiet, jest o wiele ważniejsze ekonomicznie od polowania, które zwykle jest domeną mężczyzn. Mężczyźni sądzą, że polowanie jest bardziej prestiżowe, ale jest ono ekonomicznie mniej ważne. Myśliwi znają oczywiście wszystkie rośliny, ale niekoniecznie jeszcze to zrytualizowali: nie stworzyli jeszcze kultu rośliny psychodelicznej.

Rolnictwo jest jedyną, radykalnie nową technologią, która kiedykolwiek pojawiła się na świecie; jest ona równoznaczna z wżynaniem się w ziemię. Jeśli przeczytacie jakąkolwiek monografię antropologiczną na temat rdzennych Amerykanów, znajdziecie wzmiankę o pojawieniu się białych Europejczyków, którzy próbowali siłą zaprowadzić wśród plemion rolnictwo, ale członkowie plemion zawsze mówili to samo: „Co, chcecie abyśmy gwałcili na-

szą Matkę Ziemię? To zboczenie. Jak można prosić o to istotę ludzką?” Rolnictwo objawia się tym ludziom jako absolutnie zły uczynek. Nie ma wątpliwości, że technologia ta prowadzi w nieunikniony sposób i dosyć szybko do społecznej hierarchii, separacji, struktury klasowej i religii, tak jak ją rozumiemy – do klasy kapłańskiej, która mówi wszystkim co robić i jak myśleć. Innymi słowy, prowadzi ona do autorytaryzmu, a ostatecznie do samego państwa.

Ekonomię, pieniądze, całą nędzę naszej cywilizacji zawdzięczamy rolnictwu. Przedtem mieliśmy 2 miliony lat myślistwa i zbieractwa, piękną sztukę jaskiniową, świat który wyglądał podejrzanie utopijnie, złoty wiek w porównaniu z wielką ilością problemów, które przynosi rolnictwo. W pewnym sensie rolnictwo jest upadkiem chwały. Nie chcę być reakcyjny, nie chcę być luddystą – po prostu wytykam coś, co jest bardzo oczywiste i prawdziwe, ale uświadomienie sobie tego zajęło dużo czasu ludziom cywilizowanym. W latach '60 antropolog Marshall Sahlins odkrył, że społeczności myśliwskie i zbierackie, które wciąż istnieją po dziś dzień, pracują przeciętnie 4 godz. dziennie aby zdobyć pożywienie, podczas gdy społeczności rolnicze pracują przeciętnie 16 godz. Przez spiżarnię myśliwych-zbieraczy przechodzi ponad 200 rodzajów pożywienia w ciągu całego roku, podczas gdy prymitywni rolnicy jedzą przeciętnie około 20.

Z tego punktu widzenia Sahlins wytyka, że całkowicie nieopłacalna jest dla kogokolwiek zamiana polowania za rolnictwo. Za każdym razem gdy czytam tę książkę, która nazywa się *Stone Age Economy*, staram się znaleźć odpowiedź na pytanie dlaczego – dlaczego porzuciliśmy ten Ogród Eden? Oczywiście, myśliwy wie czym jest przymieranie głodem, ale nie zna niedoboru, to dopiero powołuje do życia ekonomia. Życie myśliwego może być nędzne – może mu być za zimno, zbyt ciepło, może być zbyt skromnie odziany, może także zostać rozszarpany przez niedźwiedzia polarnego, cokolwiek – ale jedyną rzeczą, z którą myśliwy w ogóle nie ma do czynienia, to nędza naszej cywilizacji.

Jeśli zamierzamy rozmawiać o pozytywnych osiągnięciach cywilizacji, pamiętajmy o tym, że są one na usługach jedynie 10% przedstawicieli każdej, danej populacji – innymi słowy, elity posiadaczy. Dla innych cywilizacja to kurewsko dupna sprawa. Zamienia cię w służącego lub niewolnika, w ludzką ofiarę. Wiemy, że kanibalizm należy do rolnictwa, a nie do plemion łowieckich. Lubię chleb – nie mówię o odstawieniu chleba. To, co staram się wam wykazać za pomocą tego skrajnego ataku na rolnictwo, to fakt że jest ono poważnym, technologicznym przełomem. To tak, jak gdyby pociągnąć linię: po tej stronie mamy dziki las, a po tej stronie mamy kulturę, ludzkość i ostatecznie: cywilizację. Po wolnej stronie wznosimy się w ziemię, kreślimy proste linie i znamy technologię siania.

Kalendarz jest pierwszą ideologią w sensie fałszywej świadomości, ponieważ wymyślić go mogli jedynie rolnicy. Przemysł jest z tego punktu widzenia podrzędnym fenomenem wobec rolnictwa. Rolnictwo jest jedyną ważną technologią, która została wynaleziona i która upomina się o całkowitą zmianę oceny związku człowieka vis-a-vis świata naturalnego – świata roślin i zwierząt. Jako rezultat tego całego związku, tego nowatorstwa, pojawia się całkowicie nowa interpretacja rośliny psychodelicznej. Enteogeniczna, magiczna roślina pojawia się teraz w kontekście religijnym – podczas gdy wcześniej mogło pojawić się za-

ledwie pytanie o indywidualną wiedzę pojedynczego zbieracza. Teraz, nagle musi pojawić się kult rośliny enteogenicznej.

Ponieważ rolnictwo jest tak traumatyczne dla społeczeństwa, sprawia że zaczyna kielkować potrzeba żywej, szamańskiej, magicznej więzi z roślinami. Wcześniej rośliny były jak inne istoty, teraz są obcymi duchami rosnącymi w lesie. Właściwie pewien antropolog napisał fascynującą książkę na temat tytoniu jako rośliny psychodelicznej w Ameryce Południowej: pierwszym przykładem rolnictwa byłoby uprawianie roślin psychoaktywnych i z tego właśnie powodu istoty ludzkie mogły stać się rolnikami – żeby dostarczyć sobie odpowiedniego zapasu tytoniu, grzybów czy czegokolwiek. Mój przyjaciel rzekł kiedyś: „Tak, wszystko jest psychotropem.” Każda substancja, którą może przyjąć twoje ciało, dokona transmutacji. Nie dbam o to czy jest to woda, pożywienie, powietrze – to wszystko transmutacja poprzez substancję.

Nieprawdą jest, że to rolnictwo odkryło psychodeliki. Mogę udowodnić na podstawie mitologii, że społeczeństwo łowieckie znało je bardzo dobrze. Wszystkie mity dotyczące roślin psychodelicznych zawsze mówią, że nauczyliśmy się wiedzy o roślinach od dzikich ludzi z lasu. Jeden przykład: kult Bwiti z północno-zachodniej Afryki, który jest oparty na ibogainie. Członkowie tego kultu twierdzą, że dostali go od Pigmajów. Nagle wydaje nam się, że po raz pierwszy pojawia się tu roślina psychotropowa, podczas gdy wcześniej była to po prostu jedna spośród wielu psychoaktywnych rzeczy w świecie, który cały był psychoaktywny, ale teraz jest to jedyna, specjalna substancja, która pozwala nam przywrócić pierwotną intymność. Uczyni nas bardziej niż świadomymi, da nam niecodzienną świadomość, która będzie w pewnym sensie powrotem do tej pierwotnej intymności natury.

Jest w miarę jasne, że wszystkie wielkie społeczeństwa neolitu posiadały jakiś rodzaj kultu soma – sanskryckie słowo oznaczające przeżycie psychoaktywne. *Rigveda*, jedna z najstarszych ksiąg ludzkości, jest cała poświęcona doświadczeniu psychodelicznemu. Gdyby tylko Tim Leary użył *Rigvedy* zamiast *Tybetańskiej Księgi Zmarłych* aby zaprezentować LSD, lata sześćdziesiąte byłyby zupełnie inną dekadą. *Tybetańska Księga* mówi o śmierci, to dół, podczas gdy *Rigveda* w silny sposób wyraża życie, radość i moc. Poza tym wszystkie neolityczne i klasyczne społeczeństwa miały pewną różnorodność tego doświadczenia.

Te odkrycia zawdzięczamy wielkiemu Gordonowi Wassonowi, który jako pierwszy przedyskutował to czy soma z *Rigvedy* była faktycznie magicznym grzybem. Doszedł on również do wniosku, że Misteria Eleuzyjskie, jedno z centralnych religijnych świąt antycznych Greków, było również wypełnione przez roślinę psychoaktywną. Starożytni Persowie mieli coś, co nazywało się „helma”; mogła być to roślina zawierająca harmalinę. Twierdzą, że odkryłem istnienie podobnego kultu u starożytnych Irlandczyków... i oczywiście wiemy o Aztekach i Majach: posiadali oni wciąż aktywny, psychodeliczny kult kiedy przybyli konkwistadorzy. W niektórych ze starych hiszpańskich kronik możesz wciąż przeczytać o magicznych grzybach. Ale w jakiś sposób teksty te zostały stracone czy też nikt ich nie przeczytał lub jeśli ktoś je przeczytał, to im nie uwierzył albo się przeraził.

Rozprzestrzenienie się chrześcijaństwa zdaje się być sygnałem końca klasycznego świata psychodelicznego. John Allegro, jeden z prawdziwych badaczy zwojów znad Morza Martwego – który oszalał, zgodnie z większością ludzi – napisał książkę *The Mushroom and*

the Cross, w której mówi, że Jezus Chrystus był grzybem. Zawsze czułem, że Jezus Chrystus może być czymkolwiek chcesz żeby był, więc dlaczego nie? Historycznie, ten anty-psychedeliczny efekt, ma być może coś wspólnego z winem, sakramentem chrześcijaństwa. Samo wino, mimo że jest psychoaktywne, nie jest ani trochę tak psychedeliczne, jak magiczne grzyby. A z alkoholem związane są pewne problemy. Terence McKenna przyjął niezwykle purytański punkt widzenia – jest przeciwnikiem alkoholu, kawy, cukru i innych współczesnych psychotropów.

Zachód stracił prawdopodobnie świadomość większości substancji zmieniających umysł w stopniowym procesie, paralelnym z dyfuzją chrześcijaństwa. Wino jest uświęcone, a jego dionizyjski potencjał pozostaje magiczny – na przykład w mszy katolickiej, magicznym przedstawieniu, w którym chleb i wino zostają zamienione w kanibalistyczną ucztę i w „funkcji somy”, która oznacza, że wszystko jest psychotropem. Jak powiedział jeden z poetów sufickich: „Pijak nigdy nie stanie się mądry, nawet po setce butelek wina, ale mędrzec upije się szklanką wody”. Pomyślcie na przykład o Rabelais. Poświęcił on ostatni rozdział swojej książki roślinie, którą nazwał „zielem Pantagruelionem” i jest jasne dla każdego współczesnego czytelnika, że mówi on o marihuanie.

Tak więc psychedeliczna wiedza nie została utracona, nawet w czasach Rabelais. Była przekazywana w sposób niepiśmienny – przez mądre kobiety, wiejskich znachorów, czarowników i wiejskie matki, które znały się na roślinach. Wiedza ta stała się okultystyczna czyli sekretna. Rabelais bawi się z faktem, że wie coś, o czym nie wiecie wy. Wiedza nigdy nie została stracona, ponieważ żadna kultura nie może przetrwać bez pewnego otwarcia się na niecodzienną świadomość. Musicie mieć pewien zawór bezpieczeństwa wobec cywilizacji, nawet jeśli jest to masowa psychoza. Musi być jakieś wyjście.

Idea transformacji poprzez zażycie enteogenów czy roślin psychedelicznych nie została wymazana nawet w późnym średniowieczu. Wiedza została wyklęta do piekła. Grzyb psylocybowy był tu zawsze, nigdy nie odszedł, ale się ukrywał – mówię teraz jak Terence, przyjmijmy to jako metaforę – chował się, ponieważ nikt go nie szanował, nikt go nie potrzebował. To nie dlatego, że Wasson przywiózł zarodniki na swoich butach w 1956 r., magiczne grzyby nagle znowu rozprzestrzeniły się po całym globie; stało się tak dlatego, ponieważ w tym samym czasie nastąpiła zmiana paradygmatu. Jeśli nie zrobiłby tego Wasson, ktoś inny dokonałby tego odkrycia. Jak mówi Robert Anton Wilson: „Kiedy nadchodzi czas maszyn parowych są i maszyny parowe”.

Ponowne odkrycie objawiło się w XIX w., kiedy ludzie tacy jak Baudelaire, Rimbaud, De Quincey czy romantycy dorwali się do haszyszu i opium. Wiedza ta spłynęła ze świata muzułmańskiego. Ponownie, w bardzo okultystyczny i ukryty sposób jako że byli oni *poetes maudites* – przeklęta wiedza odkryta przez przeklętych ludzi. Potem nadchodzi czas Antonina Artauda, który pojechał do Meksyku i wziął pejotl; czy Ernst Juenger, Mircea Eliade, C.G. Jung, Walter Benjamin, Ernst Bloch – wszyscy oni eksperymentowali z dragami. Wiemy o Aldousie Huxleyu, ponieważ napisał swoją pierwszą książkę po angielsku. W końcu zaczęła się zaś rewolucja psychedeliczna, ale to już stara historia.

Wynalezienie LSD około 1945-47 jest dla mnie w jakiś sposób emblematyczne. Jest to faktycznie pierwszy, syntetyczny środek psychedeliczny, a niezapomnianą rzeczą jest to,

że potrzebujesz zaledwie 200 mkg czy nawet mniej. To właściwie tyle co nic. To zaś przenosi całą opowieść o doświadczeniu psychodelicznym w nowy, o wiele bardziej techniczny świat współczesnej nauki. Wcześniej istnieje prymitywny świat roślin. Jest pewien powód. Na początku stawiałem hipotezę, że drugi pojawiają się w ludzkiej historii, ponieważ są używane w sposób religijny przez społeczeństwa rolnicze, a używanie i odkrycie psychodelików jest jakimś odzewem na rozwój technologiczny.

Ten technologiczny skok sprawia, że nasza separacja od pierwotnej intymności staje się bardziej wyrazista, bardziej agresywna od tego doświadczenia czystej, zwierzęcej świadomości. Tak więc ta sama technologia powoduje rozpoznanie u części z wczesnych społeczeństw rolniczych, kultowej i religijnej roli tych roślin. W tej chwili jesteśmy tutaj, kawałek dalej na szlaku ludzkiej historii i mamy pierwsze, interesującą nowinkę technologiczną od czasów rolnictwa. Może być tak, że od mniej więcej 1945 r. widzimy rzeczy... zamiast dostrzegać ich coraz większą solidność spostrzegamy, że stają się coraz mniej materialne. (Bomba atomowa powoduje dematerializację w bardzo radykalny sposób.) Bardzo duchowe przeżycie z jednej strony i komputer z drugiej, który, jak w chwili obecnej wiemy, został przeznaczony do wzniesienia gmachu „informacyjnej ekonomii”.

Nie można zjeść informacji, tak więc nie jest to prawdziwa ekonomia i nigdy nie będzie, ale pomimo tego coś jest w tym wyrażeniu. Za tą bzdurą stoi prawda, dematerializacja, zwrot przeciwko ciężarowi ciała, uwolnienie od cielesnej powłoki produkcji. Wiemy, że komputery mają być wielkim, duchowym wydarzeniem, nawet jeśli są wciąż maszynami; niezbyt ciężkimi co prawda, w miarę prostymi, działającymi na zasadzie włączyć/wyłączyć. Oczywiście, nie przewyżcimy dzięki temu ekonomii produkcji. Ktoś musi robić buty, uprawiać żywność i nie będziemy to my! „My” nie będziemy sobie dłużej brudzić rąk. Niech zrobią to Meksykanie, podczas gdy my posiadamy tę wspaniałą, gnostycką przestrzeń czystej informacji. Wysłaliśmy nasze brudne, trujące fabryki do Indii, do Bophalu, do Czarnobyla, abyśmy mogli pozostać „cyber-klasą”.

Nieważne co myślisz o wyzwolicielskich możliwościach komputera, musimy także stać czoła faktowi, że zachodzi tu odarcie z cielesnej powłoki. Nagle nie będziecie posiadać żadnego ciała – to analogiczne ze zniszczeniem ciała, które powoduje uderzająca w ciebie bomba atomowa. Jest to zatem koincydencja, że w ciągu tych samych dwóch lat zostało otrzymane LSD, meskalina, MDMA oraz ponownie odkryte zostały grzyby... Istnieje bardzo interesujące połączenie pomiędzy technologią i doświadczeniem psychodelicznym. Prawdopodobnie ezoteryzm psychodelików osiąga punkt kulminacyjny wraz z industrializacją i przewrotną zamianą przestrzeni organicznej na machinalną jako pryncypium psychicznego zarządzania. Nawet świadomość rolnicza jest wciąż organiczna: ma do czynienia z ziemią, z roślinami i zwierzętami.

To bardzo uporządkowana, schematyczna świadomość, ale wciąż organiczna. Jednak kiedy docieramy do „Szatańskich młynów” (Blake) i angielskiej klasy pracującej u Engelsa, przestrzeń machinalna staje się zasadą porządkującą. To nie motyka tworzy już przestrzeń, to linia produkcyjna tworzy psychiczną przestrzeń. Tak więc purytanizm i imperializm muszą reprezentować publiczne tłumienie nieświadomego przez sztywną wszechwładność, opartą na modelu umysłu maszyny, który jest wyizolowanym i rozkazującym *cogito*.

Jeśli chciałbyś znaleźć jakiś okres w ludzkiej historii, w którym panowała kompletna amnezja na temat przeżycia psychodelicznego, byłby to wiek XIX, około 1830-1880 r., kiedy cywilizowani obywatele tacy jak my nie tylko nie pamiętali o czymś takim jak doświadczenie psychodeliczne, ale zaprzeczali jego istnieniu.

Lubimy jako kultura śmiać się z plemion prymitywnych – na przykład z tych, którym pokazuje się fotografie ich samych, a oni nie potrafią się na nich rozpoznać. Ale w 1876 r. francuski naukowiec wpadł przez przypadek do jednej z paleolitycznych jaskiń. Później, w swoim pamiętniku napisał, że wydawały się być to gryzmoły na ścianie. Nie potrafił dostrzec, że to sztuka, był zaślepiony tak, jak Pigmeje na fotografię. Nagle kilka lat później ludzie zaczęli dostrzegać w tym sztukę. Co pozwoliło T.S. Eliottowi powiedzieć, że po odnalezieniu Lascaux sztuka Zachodu „spadła ze schodów”? Co pozwoliło Picassowi nagle ujrzeć afrykańskie maski, francuskim ekspresjonistom nagle zobaczyć sztukę japońską, hipisom z lat '60 usłyszeć indyjską muzykę?

Dla brytyjskich kolonialistów, którzy odwiedzali Indie, tamtejsza muzyka była, jak „brzęczenie komarów” – jak oni to wytrzymują? Brytyjczycy nie mogli usłyszeć w tym muzyki. Generacja moich rodziców nigdy nie potrafiła słuchać indyjskiej muzyki jako muzyki: „Co to za brzęczący dźwięk? Czy znowu jesteście naćpane, dzieci? To jest właśnie to, co nazywam paradygmatyczną zmianą w poznaniu. W tym właśnie momencie, kiedy enteogeneza – to znaczy narodziny wewnętrznej boskości – ponownie pojawia się na Zachodzie wraz z późnymi romantykami jako subkultura, jako „okultystyczna historia”, nastają warunki do tej paradygmatycznej zmiany.

Wciąż ją właściwie przechodzimy. Jedyną rzeczą, która mogłaby choć udawać, że tłumi tą przemianę świadomości byłoby prawo, jak w Wojnie z Narkotykami. Ale nasze prawo, to prawo maszyny, zębatki, zegaru (clockwork), które jest oczywiście niezdolne do zawarcia płynności struktury organicznej. Dlatego właśnie Wojna z Narkotykami nigdy się nie powiedzie. Możesz równie dobrze zadeklarować wojnę przeciwko każdej roślinie. Tak więc publiczny dyskurs załamuje się nad pytaniem o świadomość. Wojna z Narkotykami jest wojną z samym poznaniem, z samą myślą jako warunkiem człowieczeństwa. Czy myśl jest dualistycznym, kartezyjskim rozumem? Czy też poznanie jest tym tajemniczym, kompleksowym, organicznym, magicznym przyrządem z małutkimi elfami tańczącymi wokół? Które z nich istnieje?

Wojna z Narkotykami jest wojną paradygmatyczną. Każde udoskonalenie w machinalnej świadomości wywoła dialektyczną odpowiedź królestwa organicznego. To tak, jakby grzybowe elfy wciąż tam były; to tak, jakby istniała roślinna świadomość, odpowiadająca świadomości maszynowej. To taka piękna metafora – nie musicie wierzyć w nic ponadnaturalnego aby to wyjaśnić. Tak więc około połowy XX w. technologia zaczyna przepływać z imperialnego-gigantycznego wzoru do bardziej „skrytego” wymiaru. Razem z rozszczepieniem atomu powstaje wirtualna przestrzeń komunikacji i komputerów. I w tym samym czasie zaczynają się pojawiać bardzo konkretne psychodeliki – meskalina, psylocybina, LSD, DMT, ketamina, MDMA etc. etc.

Wojna paradygmatów, która wybucha w tym momencie, jest jedną z miar anatagonizmu pomiędzy cyberprzestrzenią i neuroprzestrzenią, ale relacja ta nie może zostać zwulgary-

zowana jako dychotomia. To prowadzi nas do tzw. „drugiej rewolucji psychodelicznej” – jeszcze jednej bitwy w tej samej wojnie. Z jednego punktu widzenia przegraliśmy Wojnę o Dragi w latach '60, została ona zmiażdżona i zepchnięta z powrotem do podziemia. To, o czym marzyli Leary i Huxley, transformacja społeczeństwa poprzez to doświadczenie, nie nastąpiło. Czy też jak najbardziej? Teraz wiemy, że CIA była głęboko zaangażowana w rozprzestrzenianie LSD po świecie.

W drugiej wyprawie Wassona do Meksyku uczestniczył agent CIA. Spędzali wszyscy wspaniale czas poza jedną osobą – zgadnijcie kim była... Byli zainteresowani bad tripową stroną rzeczy – oczywiście także doświadczeniem psychodelicznym. CIA próbowała zmonopolizować LSD, kontrolować jego dystrybucję, agencja hojnie wspomagała każdy projekt badawczy. Byli zainteresowani praniem mózgu. Lata '60 zawdzięczają tyle samo CIA, co zwolennikom Leary'ego i hipisom. Była to skomplikowana sieć dobra i zła, mądrości i głupoty, wszystko w miksie dymu z fraktalnych wzorów, wpływających na siebie nawzajem, w którym każdy klejnot odbija każdy inny. Oto tajna historia lat '60.

W latach '70 i '80 rzeczy wyglądały trochę ponuro. „Druga rewolucja psychodeliczna”, którą znamy, wprowadziła kilka nowych dragów tj. ibogaina i nowe, ostrożniejsze, naukowe podejście. Wszyscy nauczyliśmy się uważać na to skąd pochodzą fundusze i gdzie są protokołowane. Jest też nowa generacja: nie martwcie się, dzieciaki są w porządku. LSD jest niebezpiecznym narkotykiem, niszczy życie niektórych ludzi, ale życie to ryzykowny interes. Jest jedna rzecz, której naprawdę nie znoszę, to słowo „bezpieczeństwo”. Żyjemy w cywilizacji bezpieczeństwa, w której kokonie jesteśmy ostatecznie zamknięci na wszelkie niebezpieczeństwo, to znaczy na całe doświadczenie. To z czym zostajemy, to roślina podpięta do komputera, która nigdy nie opuszcza pokoju, jak w koszmarnej wizji z powieści Williama Gibsona. Lepiej ulec radzie mówiącej o ponownym odkryciu ryzyka.

Nową turę ruchu psychodelicznego można odnaleźć w pracy Fundacji Alberta Hofmanna i w rozprzestrzenianiu się kwasu po Europie Wschodniej – wszystko jest częścią tej „drugiej rewolucji psychodelicznej”, którą usilnie łączę z Internetem, tym dialektycznym odzewem udzielonym przez świat maszyn światowi roślin. Antagonizm pomiędzy cyberprzestrzenią i neuroprzestrzenią to jedna rzecz, ale istnieje także analogia. W jakiś sposób cyberprzestrzeń jest halucynogenna lub tak o niej myślano. Obydwie tworzą wizjonerską przestrzeń wewnętrzną. To jak powiedzenie, że LSD jest bombą atomową, „rozpieprzyło ci mózg”. Ma to także jednak negatywną stronę.

Bądźmy przejrzysti: cyberprzestrzeń mieści się na zewnątrz twojego ciała, możesz nim ruszać oglądając te kiepskie animacje przelatujące wokół. Czy wirtualna rzeczywistość już zawiodła? Ktoś dzisiaj powiedział, że wirtualna rzeczywistość zawiodła, ponieważ jest ona już wirtualnie odbierana poprzez media. Zaoszczędźcie więc pieniądze i posłuchajcie o tym w telewizji, to wystarczy. To bardzo konceptualne, jest to jedna z tych rzeczywistości, których nigdy nie było i nie będzie. I nie zapominajcie, że cyberprzestrzeń jest czymś więcej niż tylko VR. Najważniejszą siecią nie jest Internet, ale międzynarodowa sieć bankowa. Tam każdego dnia obraca się trylionami dolarów. „Pieniądze poszły do nieba”, jak mawia mój przyjaciel Gordon. Pieniądze, które odnoszą się do pieniędzy etc. – najbardziej abstrak-

cyjny pomysł wynaleziony kiedykolwiek przez ludzkość. W porównaniu do tego Internet jest niczym, to mały wycinek elektrokomunikacji.

Niemniej jednak Internet jest dla mnie interesujący z powodu dużego potencjału wolnościowego – chcemy znaleźć jego aspekt psychodeliczny. Osobiście staję się coraz większym pesymistą, trajektorie zdają się wszystkie kończyć w redukcji naszej autonomii. Internet może stać się zarówno nową receptą na globalny kapitalizm, jak też zniknąć całkowicie lub też stać się małym medium komunikacyjnym, fajną sprawą mniej znaczącą niż poczta. Zostało jedynie kilka kącików na piękną agitację. Nie możemy dłużej spodziewać się, że wygramy tę konkretną bitwę w wojnie paradygmatów. Nie sądzę, aby właśnie ta technologia bardziej niż każda inna technologia była tą poprawką, która da nam chwałę i zwycięstwo. To nie jest rozwiązanie; to nie jest już nawet pytanie, a na pewno nie odpowiedź. Wolałbym rozszerzyć pytanie tak aby włączyć weń neuroprzestrzeń, ponieważ cyberprzestrzeń jest konceptualnie formą obdarcia z ciała.

Jako historyk religii widzę, że tragedia ludzkiej historii polega na oddzieleniu umysłu od ciała. Od czasów Mezopotamii religia zawsze próbowała uciec od ciała: stawiała się coraz bardziej i bardziej gnostyczna, w sensie nienawiści do ciała. Jeśli chcesz usłyszeć niektórych ze wspaniałych gnostyków, posłuchaj tylko kilku zapalonych adwokatów Internetu. Ludzi, którzy naprawdę wierzą w to, że przekroczysz kondycję ciała, ściągniesz sobie świadomość, uciekniesz od truchła. To nieśmiertelność poprzez technologię, transcendencja poprzez świadomość maszyny. To ten sam pączek w niebie, który dostajesz gdy umierasz, jaki był krytykowany przez starych anarchistów w religii. Internet w tym aspekcie jest prostą, współczesną wersją religii. Cyberprzestrzeń jest naszą wersją nieba.

Te mity nie odchodzą. Ten racjonalizm okazuje się być kolejnym irracjonalnym kultem, po prostu kolejną ideologią, następną formą klasowej świadomości. Problem przyobleczenia w ciało jest zatem jedynym religijnym, intelektualnym i technicznym pytaniem, jakie musimy sobie zadać. Ciało jest zarówno tajemnicą i kluczem do tajemnicy w tym samym czasie. Cyberprzestrzeń nie mieści się w ciele. „Ciało bez Organów” jest zwrotem przejętym od Deleuze i Guattari’ego, a są oni w dziwny sposób ambiwalentni, jeśli chodzi o moralny aspekt ciała. Rozumiem ich „świadomość machinalną”, to że nie jest ona koniecznie zła. Mógłbym mówić o doświadczeniu psychodelicznym jako o wyobrazeniowym wehikule.

Mój spór ze świadomością machinalną zaczyna się, kiedy wskazuje ona na to, że ciało jest złe, a umysł dobry. I nie zapominajcie o tym, że kościół katolicki kochał Kartezjusza. Ta kartezjańska świadomość, która jest dla nas teraz machinalna, współczesna i naukowa, była swego czasu wychwalana przez kościół katolicki jako prawdziwie religijna filozofia. Neuroprzestrzeń obejmuje także halucynacje. Sądzicie, że jesteście w „pałacu pamięci”, ale nie jesteście. Siedzicie po prostu w pokoju porobieni kwasem: jesteście w wyobrazeniowej przestrzeni tak, jak w cyberprzestrzeni. A dodatkowo, gdzie to wszystko się dzieje, czyżby poza ciałem? Neuroprzestrzeń to przestrzeń cielesna. Cyberprzestrzeń to przestrzeń bezcielesna. Nie chcę brzmieć jak moralista... Możemy dodać terminy tj. „złożoność”, „chaos” czy też „karmiczna sieć klejnotów”.

Ostatnie udoskonalenia w machinalnej świadomości posiadają wywrotowy aspekt a la Deleuze i Guattari, tak jak ma to miejsce w internetowym aktywizmie, mają one pewien

psychedeliczny posmak. „Dragi” pokazują „drugą naturę”, która jeśli nie jest mechaniczna, to w ogóle nie istnieje. Cały „kryzys dragowy” jest w dużym stopniu kryzysem mechanicznej świadomości. I heroina, i kokaina są w dużym stopniu produktami przemysłowymi, tak jak LSD. Jednak pojawia się tu także aspekt przeciwny, „druga rewolucja psychedeliczna”, dialektyka ponownego ucieleśniania („neuroprzestrzeń”) jako opozycja wobec tendencji do fałszywej transcendencji i odcieleśniania w „cyberprzestrzeni”.

Jednym z wielu „ponownych odkryć” tej nowej enteogenezy jest dialektyczna natura ziela *ayahuasca* lub *yage*, to znaczy, że organiczne DMT może „zadziałać” w kombinacji z MAOI tj. harmina, a surowce roślinne do otrzymywania tych dwóch substancji są globalnie rozprzestrzenione, rozsiane do punktu wszechobecności, niemożliwe do kontrolowania i wolne. Przygotowania wymagają jedynie posiadania nieskomplikowanej kuchni. Neo-ayahuasca, inaczej niż komputerowe technologie, nie jest częścią kapitalizmu czy jakiegokolwiek innego systemu ideologicznej kontroli.

Czy to porównanie jest na miejscu? Tak, do punktu, w którym zarówno enteogeneza, jak i cybertechnologia dotyczą informacji, a zatem epistemologii. Faktycznie, możemy obydwie z nich nazwać „systemami gnostyckimi” – obydwa są bowiem zamieszane w zdobycie wiedzy, która wyłania się z zatoki oddzielającej umysł/ducha/duszę od ciała. Tak więc enteogenna wersja tej wiedzy implikuje ponad wszystko poszerzenie definicji ciała tak, aby weszła w nią neuroprzestrzeń, podczas gdy wersja cybernetyczna implikuje zanikanie ciała w informację – „ściągnięcie świadomości”. Są to być może absurdalne i ekstremalne przykłady, raczej wyobrażenia niż sytuacje polityczne; ale to także silne mity i potężne wizerunki.

Potrzebujemy tu polityki – nie jako ideologii, ale jako aktywnej znajomości aktualnych okoliczności – jasnej tak bardzo, jak tylko możemy uchwycić ją poprzez naszą modelową, odlotową kondycję. Potrzebujemy strategicznego sensu mówiącego, gdzie uderzać ze szturchnięciami naszej materialnej sztuki, po trochu wschodnimi ruchami ZEN, za pomocą którego nawet słaba osoba będzie mogła wygrać bitwę. Za pomocą którego nawet my, zlekceważeni, marginalizowani, możemy dostarczyć sobie mocy i w ten sposób wpływać na historię. Wszystko to prowadzi do śmiesznej apokaliptyczno-bezsensownej wizji samoznaczenia, jak „Neurohakerzy przeciwko Nowemu Światowemu Porządkowi”. Lecz przynajmniej jest to niezły pomysł na powieść science-fiction.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Peter Lamborn Wilson
Cybernetyka i enteogenika
Od cyberprzestrzeni do neuroprzestrzeni

[https://magivanga.com/2012/05/14/
cybernetyka-i-enteogenika-od-cyberprzestrzeni-do-neuroprzestrzeni-odczyt/](https://magivanga.com/2012/05/14/cybernetyka-i-enteogenika-od-cyberprzestrzeni-do-neuroprzestrzeni-odczyt/)

pl.anarchistlibraries.net